

Kuryer Poznański
wychodzi codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych.
Redakcja: przy ulicy św. Marcina nr. 16.
Administracja i Ekspedycja: przy ulicy św. Marcina nr. 16 w Drukarni Kuryera Poznańskiego.

KURYER POZNAŃSKI.

Przedpłata kwartalna
wynosi w Poznaniu marek 4, na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i w Austrii marek 5 (zob. Zeitungs Preisliste p. 1887 II Abth. r. 45) w innych krajach: cena poznańska z dołączeniem przesyłki.
Cena ogłoszeń
wynosi 15 fenigów od drobnego siedmioliterowego wiersza. — Reklamy po 30 fen. od wiersza. — Przekład na język polski bezpłatnie.

Niedziela 2 września 1888.

AJENCYE KURYERA POZNAŃSKIEGO:

Rajchmann i Frenkler, w Warszawie ulica Senatorska 22. — R. Mosse w Berlinie, Frankfurtu n. M., Hamburgu, Lipsku, Monachium, Norymberdze, Pradze, Strassburgu, Stuttgardsie, Wiedniu, Wrocławiu, Zurichu. — H. Hasenstein & Vogler: w Bazyle, Dreźnie, Gdańsku, Halle n. S., Hanowerze, Genewie, Kamienicy (Chemnitz), Kolonii, Lubecie, Norymberdze. — Hava Laffite & Comp. w Paryżu place de la Bourse 8.

Poznań, 1 września.

(Ważny artykuł „Mosk. Wiem.” — Głosy prasy berlińskiej. — Wiadomości z Francji. — Uroczystości w Tulonie. — „Gil Blas” o Boulangerze. — Doniesienia z Petersburga, Brukseli, Rzymu, Zofii i Tangeru.)

Wczorajsza „Nordd. Allg. Ztg.” reprodukuje w całej rozciągłości, ale bez najmniejszych zastrzeżeń, swój artykuł „Mosk. Wiem.”, poświęcony sprawie zjazdu we Friedrichsruhe a zawierający jak najgwałtowniejsze wycieczki przeciw Niemcom, Włochom i trójprzymierzu. Organ zmarłego Kątkowa zauważa nasamprzód, że Niemcy nie umieją się jakoś wyrzec owiej dziedzicznej mrzonki, aby być naczelnym a nie bezinteresownym kierownikiem polityki europejskiej — a z pomocą t. z. pokojowej ligi jako i systematycznego zagrożenia pokoju poddawać wpływowi swemu wszystkim państwom, nawet i Rosyji. Jakkolwiek będą rezultaty nowego tego sprzyśnięcia, to niewątpliwą jest rzeczą, że trójprzymierze, wierne swemu powołaniu, do wszelkiego innego będzie dążyć — tylko nie do ustalenia pokoju i przestrzegania legalnych zasad w Europie. Liga pokojowa opiera się jedynie tylko na milionach bagnetów — ponieważ zaś bagny te gotowe są do obrony państw, gwałcących otwarcie międzynarodowe traktaty — przeto już w istnieniu ligi takiej znajdują się zarodki wojny, mogącej wybuchnąć lada chwila. W istocie — piszą dalej „Moskowsk. Wiem.” — położenie Europy obecne ma charakter ciągłego zaniepokojenia — a właśnie od chwili utworzenia się owego trójprzymierza zastrzyżły się wielce stosunki między mocarstwami. Włochy ze swjej strony jak najsumienniejszy przyczyniły się do wytworzenia obecnego niezdrowego położenia rzeczy, nie pozostając pod tym względem za najstarszym członkiem ligi; p. Crispi starał się widocznie o pozyskanie względów ks. Bismarcka — bo i w sprawie bułgarskiej i obecnym masowskim zatarak szczerze się o to pokwapił, aby jasno wyświecić owe „pokojowe” i „czysto odporne” cele ostawionej ligi.

Organ rosyjski zauważa teraz, że polityka p. Crispiego w obec Francji (tak co do zatargu masowskiego jak i rokowań handlowych) odznacza się niezwykłą pyszałkowatością. Bezzcelność włoska w sprawie masowskiej znalazła poparcie u półurzędowej prasy niemieckiej, a wywołala tego rodzaju naprężenie, że najmniejsza już nieostrożność wywołać może katastrofę, która zagarnie nie tylko same terytoria Włoch i Francji. Niezrozumiałą jest rzeczą, co właściwie upoważnia pyszałkowatość włoską do arrogantnego sobie masowskiego terytorium, na którym włoska włoskie zawsze i jedynie tylko najdotkliwsze ponosiły klęski; a przecież mimo bezpodstawności pretensji tych nie będzie to w żadnym razie zasługą członków ligi, ale jedynie tylko mocarstw stojących po za nią — jeżeli w kwestyi masowskiej zdoła odnieść ostateczne zwycięstwo rozum i takt polityczny. — Tak też się ma rzecz i z bułgarską kwestyą. Anormalne położenie Bułgarii grozi wywołaniem europejskiej wojny — a przecież anomalia tę popierają właśnie mocarstwa, wchodzące w skład „pokojowej ligi”. Wojna od dawna byłaby też już wybuchła — gdyby na straży pokoju europejskiego nie stało państwo, nie mające nic a nic wspólnego z ową faryzejską ligą mocarstw środkowej Europy.

Jak już powyżej zauważyliśmy, organ kancelarski drukuje powyższy wyrazisty artykuł Kątkowskiego organu bez żadnych uwag i komentarzów. Inne gazety berlińskie zauważają, że nie czytano jeszcze może w żadnym rosyjskim piśmie artykułu tak zaciętego i nienawistnego dnia Niemiec, przekraczającego równocześnie do tego stopnia istotny stan rzeczy. Korespondent prywatny berlińskiego „Tageblattu” donosi z Paryża, że Izby francuskie w każdym razie zwolane zostaną przed upływem października. Nasamprzód ma im zostać przedłożony wniosek o zastąpienie wyborów według list wyborami okręgowymi. Wielka część komisji departamentowych miała się już oświadczyć za tym systemem.

Z Tulonu donosi urzędowa depeza, że w dniu wczorajszym prezydent ministrów p. Floquet wraz z ministrem marynarki, admirałem Krantzem uczestniczył w ćwiczeniach eskadry francuskiej. W nocy z czwartku na piątek dwie łodzie torpedowe w skutek fałszywego obrotu starły się ze sobą, ponosząc ciężkie uszkodzenia — ze załogi nikt jednak nie do-

znał szwanku. Do Tulonu ma zawiązać temi dniami druga dywizja hiszpańskiej eskadry manewrowej. Magistrat miasta Tulonu uchwalił podwyższenie kredytu na cel uroczystości, jakie się odbędą na cześć eskadr hiszpańskich i portugalskich — a prócz tego i rosyjskich pancerników, które w krótkim czasie przybędą mają do Tulonu.

O ruchu strejkowym we Francji donoszą depeze, że trwa on jeszcze na prowincyi, a zwłaszcza w Amiens — gdzie władze działają z wszelką energią; w czwartek aresztowano tam dziesięciu socjalistów za podburzanie robotników do zaprzestania roboty.

Paryski „Gil Blas” podał fantastyczną wiadomość, powtórzoną następnie i przez inne francuskie gazety, że Boulanger wyjeżdżając z Paryża nie udawał się do Szwecyi, ale do Hamburga — z kądem odwiedzić zamierza ks. Bismarcka we Friedrichsruhe. Zbytecznym byłoby rozwozić się nad bezpodstawnością wersyi tej, którą jedynie jako „curiosum” tutaj zapisujemy.

Z Brukseli nadeszły mało pocieszające doniesienia do pism berlińskich o niepomyślnym rezultacie szlachetnych usiłowań Kardynała Lavigerie w sprawie zniesienia handlu niewolnikami w Afryce. Jak wiadomo, rząd państwa Kongo oparł się projektowi utworzenia legii ochotniczej ku zwalczaniu afrykańskich handlarzy niewolnikami. Wskutek tego miał Kardynał zważyć o skuteczności przedsięwzięcia swego i odstąpić od niego. W ostatniej chwili zaniechał zamiaru udania się do Berlina i miasto na wschód, udał się na południe z powrotem do Algieru.

Depesza urzędowa z Petersburga donosi, że organ księcia Mszczerskiego „Grażdanin” w dniu wczorajszym otrzymał z polecenia ministra spraw wewnętrznych pierwsze napomnienie prasowe. Dekret ministerjalny uznaje wprawdzie, że ogólny kierunek pisma jest w zasadzie dobrze inspirowany — ale z drugiej strony „Grażdanin” pozwalał sobie bezustannie uwag bardzo niestosownych o czynnościach i postanowieniach rządu jako i władz najwyższych państwowych — a tem samem wywołuje ostatecznie nieszanowanie i lekceważenie władz tych w szerokiej masach społeczeństwa.

Król włoski Humbert wraz z następcą tronu i księciem Aosty uczestniczył w czwartek we wielkich manewrach wojsk włoskich na polach Cesiny. Dotąd we wszystkich punktach przejazdu ludność przyjmowała króla z entuzjazmem — szczególnie okazałe owacy wyprawiono dla niego w Rimini.

Ze Zofii nadeszły do Wiednia doniesienia o wielkim oburzeniu, jakie panuje między zofijską ludnością. Oto miało się wykaazać, że trzech deputowanych sobrania brało udział w zbrodniczych czynnościach band zbrojeckich. Dwóch z deputowanych tych już powieszono — trzeci, należący do ostawionej bandy Rilowskiej, dotychczas zdołał ukryć się przed pogonią.

Telegram z Tangeru donosi, że sultanowi marokańskiemu udało się przerwać blokadę urządzoną przez szczypty arabskie, mieszkające na południowym Atlase — szczypty te poddały się na nowo władzy sultańskiej.

Zebrań przedwyborcze

odbędą się:
W niedzielę, dnia 2 września w Witkowie o godz. 5 po połud. na sali p. J. Ogórkiewicza; w Krobi (na powiaty gostyński i rawicki) o godzinie 2 po południu w hotelu p. Sliwińskiego.

W Prusach Zachodnich.
W niedzielę, dnia 2 września w Borzyszkowach (na powiat czeluchowski) o godzinie 1 1/2 po południu w lokalu pani Lewińskiej.

W czwartek, dnia 6 września w Czersku (na powiat chojnicki) o godzinie 1 po południu w lokalu p. Strackiego.

W niedzielę, dnia 9 września w Zblewie (dla powiatów starogardzkiego i toruńskiego) o godzinie 4 po południu w lokalu p. Cebuli.

W poniedziałek, dnia 10 września w Lubawie o godzinie 2 po południu w lokalu p. Lilienthal.

We wtorek, dnia 11 września w Tucholi o godzinie 1 po południu w lokalu pani Milaszewskiej.

Książę Zdzisław Czartoryski

ogłasza następujące pismo:
Szanowny Redaktorze!
Wróciwszy w tych dniach z Marienbada widzę nazwisko me kilkakrotnie postawione na liście kandydatów na posłów do sejmiku pruskiego. Z żalem przychodzi mi zaufanie podziękować i równocześnie oświadczyć, iż mandatu przyjąć nie mogę, nie mając w dzień wyborów ukończonych lat 30.
Przyjm. itd.
Sielec, 29 sierpnia 1888.
Zdzisław Czartoryski.

Zapowiedziane zebranie przedwyborcze w Starym targu odbyć się nie może, gdyż i tu w ostatniej chwili odmówiono na zebranie lokalu.

Puck, 30 sierpnia.

W niedzielę 27 b. m. odbyło się walne zebranie przedwyborcze w Polczyniu na powiat pucki w domu gospodarza Józefa Bialka, ponieważ oberzysta Drew, Kaszuba, który przy świadectwie dał był rękę i słowo honoru księdzu mechowskiemu, iż z największą radością przyjmie u siebie zebranie, później odpisał bardzo uczony list, że jako „Niemiec” nie jest przyjacielem „polsko-agitatorskich” zebrań.

Przewodniczącym został obrany ksiądz prob. Bączkowski z Mechowa, który określiwszy porządek dzienny, oddał głos posłowi p. prof. Schroederowi.

Posel nasz w jędrnej mowie zdał sprawę z poselstwa swego. Drugi nasz poseł ks. kanonik Neubauer telegrafował w sobotę wieczór, iż dla śmierci swego wuja ks. Pomieczyńskiego stanąć nie może. Na kandydatów do sejmiku postawiono jednogłośnie tych samych panów, ponieważ dotąd nas sumiennie bronili.

Delegatem obrano p. Schroedera, za stepską p. Plińskiego ze Zdrady. Do komitetu powiatowego obraliśmy coś 40 mężów, bo na każdą wieś po 1, 2 lub 3, aby tem wpłynąć na przyszłe wybory.

Przewodniczący rozebrał następnie „kulturkampf”, odmalował jego „agitatorów”, opisał smutne jego owoce, wykazał, jako z naszej strony nigdy nie zaczepiamy innowierców i innowierców, z kądem chwala dla nas Kaszubów Polonusów, bo, dodał: jak Niemiec, lubo mówi „plattdeutsch”, zawsze jest Niemcem, tak i Kaszuba Polakiem.

Posel p. Schroeder skorzystał z tych wywodów i opowiedział swoim ziomkom, z kądem przyszło, że rząd przez dłuższy czas mylnie uważał Kaszubów za Niemców.

Policyą zastępował p. Rex; ządarmów było 2 po za domem; pod otwartymi oknami nie wolno było się przysłuchiwać. Przewodniczący wynurzył dalej z naciskiem niejedne nasze zale i życzenia do pana ministra wprost i do poselstwa naszego, n. p. że utrudnione są nam zebrania wyborcze, podpisy pod petycyce.

W końcu przeczytał petycyą już wygotowaną do p. ministra względem języka polskiego w szkole, którą ojcowie obecni podpisali.

Jeszcze raz zabrał głos poseł pan Schroeder, zachęcając, abyśmy spokojnie a wytrwale bronili swjej sprawy i dopominali się praw nam przysługujących, skargi zaś i uzalenia na ręce jego albo Koła poselskiego donosili.

Niepotrzebne mentorstwo.

„Orędownik” ma ten fatalny zwyczaj, że zamiast kłopotać się o wewnętrzne sprawy swjej redakcyi i starać się o jaką taką poprawność swego pisma, lubi od czasu do czasu zaglądać bez najmniejszego powodu do oficyn innych pism tutejszych i narzucać im się z zupełnie zbytecznymi krytykami i radami. W przedwczorajszym już numerze nie mógł powściągnąć swego isticie babskiego gadulstwa, i w artykule najeżonym niczem niezasadnionem, a co jedno to banalniejszymi twierdzeniami antyszlachectwami, wypalił ni ząd, ni zowąd oryginalny frazes, tym razem z boku tylko, że wina za smutny wynik ostrowskiego zebrania pomiędzy innymi spada także na „Kuryera Pozn.”! Ale tego nie było mu dosyć. Nie mogąc co dzień uderzać na szlachtę, a po części i na duchowieństwo, wsiadł „Orędownik” dzisiaj znowu na drugiego ulubionego konika, na „nasze tak zwane „poważne” organa”, i hejże, nie tylko już na „Kuryera”, ale i na „Dziennik Pozn.”

Poznajmy przedewszystkiem jego elukubracją. „Orędownik” pisze:

Spór o adres był, śmiało rzec można, jedynym fermentem, który jeszcze jako tako zdołał poruszyć umysły na zebraniach wyborczych. Zdania o tym sporze mogą być rozmaite, koniec końcem sprowadził on porażkę Koła polskiego i w dodatku odstąpił wielką nieporadność i Koła polskiego i tych warstw wyższych, które wysłanie adresu uważają za rzecz słuszną i uzasadnioną.

Trzeba nie znać naszego społeczeństwa, aby nie wiedzieć, że wrzawa ta, jak prędko powstała, tak się też prędko skończy.

Uplynie tydzień, dwa tygodnie, a wszyscy o adresie i wrzawie zapomną.

Widać to już dziś po naszych dwóch głównych organach klas wyższych. Należałoby się spodziewać, że tak „Kuryer”, jak „Dziennik” zabrają w tej kwestyi głos i wypowiedzą jakieś zasadnicze myśli czy przeciw, czy za adresem. Tymczasem nie z tego. „Kuryer” podał wprawdzie całe przemówienie posła Zakrzewskiego w Ostrowie, ale i na tem skończył. Z „Dziennika” zaś nie mogli się czytelnicy dowiedzieć nawet dokładniejszych szczegółów o tem, co się w Ostrowie stało.

W ostatnich numerach tych organów czytamy dziś artykuły wstępne, frontowe o „Oberprezydencie” w Hanowerze, o niemieckich „Autorytetach”. Takie tematy bardzo obchodzą skolatanę społeczność polską, a dla szanownych redaktorzy są wygodne, bo potrzebna je tylko przetłómaczyć na polskie z jednej lub dwóch gazet niemieckich.

Nasze tak zwane „poważne” organa wolały sprowadzić z redakcyi niemieckich niemiecką słomę i rznać ją w Poznaniu na polską sieczkę, aniżeli rozbiierać zdania, jakie się na zebraniach wyborczych tu i owdzie ścierały, i jakie się ścierały w łonie społeczeństwa naszego.

Zwracamy na to uwagę, bo że w tak ważnych kwestiach, jaką jest adres wysłany do zmarłego cesarza Fryderyka, taki zamęt panuje w warstwach wyższych, to temu niewątpliwie winna pewna ocieżałość „Dziennika” i „Kuryera”, dwóch organów naszych klas wyższych, które unikają rozbioru zasadniczych kwestyi, albo je też pobieżnie traktują.

Tyle organ stronnictwa „obywatelskiego.”

Nie myślimy bynajmniej — samo się przez się rozumie — odpowiadać za „Dziennik Pozn.”, który się sam obronił potrafi, winniśmy atoli od siebie samych kilka choćby słów repliki niefortunnemu mentorowi, który straciwszy na próżno czas swój na bezowocnych wysiłkach celem zajęcia jakiegos poważniejszego stanowiska w społeczeństwie, dziś gniew swój, spowodowany tem niepowodzeniem, wywiera na każdym, kto mu się nawinie pod pięść zaciśniętą.

Nie wiemy, o ile sam pan mentor bierze udział w rznięciu niemieckiej słomy na polską sieczkę w swym „Orędowniku” — tyle jest rzeczą pewną, że gdy pismo swe mieni organem politycznym — to i pod tym względem czytelników swych lepij obsługiwać mu się należało, aniżeli dotychczas. Jeżeli tego nie czyni, to niechże przynajmniej nie obraża jadem swego złości pism, które nie zaniebując niczego ze spraw wojskich, starają się o to, aby czytelnicy ich nie potrzebowali się dopiero z pism niemieckich dowiadywać o ważniejszych wydarzeniach politycznych Europy. My nie tylko o hanowerskim „oberprezydencie” i o niemieckich „autorytetach” informujemy naszych czytelników, ale podajemy im także encykliki papieskie, których przeciw „Orędownik” włoską słomą rzniętą na polską sieczkę nie nazwie, a nawet referujemy o usiłowaniu Kardynała Lavigerie, zmierzających do wyrugowania barbarzyńskiego niewolnictwa z Afryki i t. d.

Jakkolwiek miło nam jest, ilekroć poruszyć możemy ważny przedmiot, interesujący bezpośrednio nasze społeczeństwo, to jednakże, gdy takiego tematu nie znajdziemy, bez namysłu wolimy zająć czytelników jakąś ciekawą kwestyą choćby obcą, aniżeli wzorem pism la „Orędownik”, głupią, ale złośliwą i o tyle niebezpieczną, że wiecznie powtarzającą się krytyką rozbija nasze i tak już nie-szczególne stósunki. Faktem jest, że ilekroć „Orędownikowi” zabraknie tematu do uwag nad rzeczywistymi naszymi potrzebami, w ogóle nad tem, co nas boli, lub co nas interesuje, a gdy nie może pisać o germanizacyi, protestantyzowaniu ludności Księstwa, lub t. p. kwestyach — od razu znajdujemy na jego pierwszej stronnicy artykuł przeciwko szlachcie, w którym w wiecznie ten sam, aż do znu-

żenia już wszystkim znany sposób osobiste zale i zawody potencjonuje do wysokości nieszczyt i niepowodzeń publicznych.

Co się tyczy kwestyi adresowej, to „Orędownik” znowu dowiódł swem wystąpieniem, że ma bardzo krótką pamięć. Myślimy nasze zdanie w tej sprawie wyłuszczyli już bardzo szczegółowo, — jeżeli „Orędownik” tego nie wie, to mu przypominamy nr. 165, 167, 169 i 174 „Kuryera.” Tam może się dowiedzieć, żeśmy od samego początku stanęli po stronie Koła polskiego i bronili go przeciwko wszelkim niepowołanym krytykom, — nawet przeciwko „Dziennikowi Pozn.”, — albo raczej jego średziemu korespondentowi. W artykułach tych poruszyliśmy także już wtedy najdrażliwszą kwestyą tej sprawy, to jest niedyskrecyą niektórych posłów, którzy zastraszeni wystąpieniem terrorystycznego organu poznańskiego nie wahali się uniewinniać publicznie i zasłaniać tem, że przeciwko adresowi głosowali, ale ulegli większości. Gdyby — mówiąc nawiasem — mniejszość Koła polskiego, mimo porażki, umiała była dochować tajemnicy i trzymała się była zasady solidarności — owo terrorystyczne pismo nie byłoby się wcale odważyło na podjęcie walki, która tak szkodliwie dla całego naszego społeczeństwa wydała owoce i w wysokim stopniu wystawiła na szwank powagę Koła polskiego w obec publiczności. Mimo to sądzimy, że czas jeszcze naprawić zle — i że znajdują się jeszcze walne zebrania przedwyborcze, do których — jak do jarcocińskiego i pleszewskiego — podszept niespokojnych duchów poznańskich nie będą miały przystępu.

„Orędownik” mógł nadto w sprawozdaniach naszych zebrań przedwyborczych doczytać się naszego zapatrywania na kwestyą adresu, — ale na to poznański „mentor” i przywódca „obywatelskiego” stronnictwa nie miał naturalnie czasu.

Radzimy „Orędownikowi” patrzeć własnego... domu.

Projektowana zmiana statutów „Banku Ziemińskiego”.

Od dość długiego już czasu wstrzymaliśmy się od wszelkich uwag o Banku Ziemińskim, kierając się zasadą, że gdzie za wielu doradców, tam praca bardzo utrudniona. Dziś, gdy Bank już się ukonstytuował i chodzi tylko o zmianę statutów, chętnie dajemy głos poważnemu autorowi, który z życziwego stanowiska rozpatruje sprawę i wypowiada swoje zapatrywanie.

Oto jego słowa:

(D. D.) Dnia 14 września r. b. naradzić się mają akcyonariusze Banku Ziemińskiego nad zmianą ustaw, zawierającą znaczne ograniczenia przyszłej działalności Banku. Zmiana ta jest tem donioślejszą, iż nowe prawo akcyjne przestrzega każde dokładnego wypełniania ustaw pod osobistą odpowiedzialnością zarządu i rady nadzorczej (cfr. art. 193, 204, 231). Tem pilniej zatem zbadać wypada, czy zakres przyszły Banku nie będzie zbyt ograniczonym, czy możliwem będzie dalsze prosperowanie Banku w ramach ściślejszych i dokładnie określonych.

Z wykluczeniem wszelkich innych czynności ma być zadaniem Banku jedynie:
1) Kolonizacya, czyli zakupno większych obszarów i rozprzedaż pojedynczych parceli;
2) pośredniczenie w nabywaniu, dzierżawieniu i parcelowaniu ziemi.

Niedozwolonemi być mają mianowicie wszelkie operacye bankierskie. Taką jest przynajmniej intencyą wnioskodawców. W obec tych zmian proponowanych powstają dwie wątpliwości kardynalne, czy zakres „Banku” nie będzie zbyt ograniczonym, i czy zarząd będzie zdolny rozwinąć działalność instytucyi, opartej li tylko na kolonizacyi. Co do pierwszego, to przyznać musimy, że żywymy pewne wątpliwości zasadnicze, które następnie przykłady wykazują. Obywatel A. posiada odłużony majątek 1500 morg., chce się utrzymać na glebie, wzywa „Bank”, żeby mu pomógł w parcelacyi 500 morg. Pośrednictwo w parcelacyi jest według statutów dozwolonem, parcelantów potrzebnych odszukano, interes przedstawia się świetny. Lecz rozbija się rzecz o ważny szkopuł. — Pan A. ma landszafę i Bank,

przed odpisaniem parcel trzeba spłacić odpowiednią sumę tym wierzycielom, gdyż parcelanci hypotek przejąć nie chcą, zakreślając tę sumę, to już interes bankierski, którego „Bankowi” robić nie wolno. Panu A. nic innego nie pozostało, jak podziękować za łaskawość, ale nieproduktywne pośrednictwo Banku ziemskiego, i albo czekać subhasty, albo do innego udać się banku, albo wreszcie morę antyquę od żyda. — Pan B. ma 100 tysięcy marek wekslowych długów, ex re iudykatu wniesiono o subhastę jego dóbr. Bank ziemski zajmuje się ratunkiem, za jego pośrednictwem sprzedaje się las i folwark, a kwota uzyskana przerosła 150 tysięcy marek. A zatem pan B., a lepiej powiemy jego majątek uratowany — ale i tu nowa trudność. Kupiec może pieniądze za las dopiero za pół roku zapłacić, nabywca folwarku za kwartał, a tu subhasta za pasem. Bank ziemski i w tym przypadku nie może dokonać dzieła ratunkowego, gdyżby to przekazało jego atrybucyę. Czy inny bank w takim przypadku podejmie się udzielenia potrzebnych funduszy — to rzecz wątpliwa.

W obec przedstawionych przypadków — a podobne można sobie tworzyć in infinitum — zastanowić się należało, czy „Bank” będzie zdolny działać skutecznie, a mianowicie wypełnić swe zadanie co do „pośrednictwa w kupnie i parcelacji”, jeżeli nie będzie mógł przytem zierać interesów bankierskich przez odpowiedni wykład kapitału. Operacje rzeczone nie są niebezpieczne, jeżeli zarząd, o czém wątpić nie należy, będzie umiał zachować ostrożność i wszelkie prawne zastrzeżenia; nie ma zatem najmniejszego niebezpieczeństwa utraty pieniędzy, tak mierzalnie w całej Polsce zebranych.

Dalszą wątpliwość wyrazić musimy co do kwestyi, czy się kolonizacya w szerzyszych ramach powiedzie. W tej mierze słyszeliśmy dotychczas jedynie zdanie: koloniści polscy się znajdują! Zobaczymy, o ile zdanie to wytrzyma krytykę cyfr. Ze się wiele odpowiednich majątków na parcelacyę znajdzie, wątpić nie należy, przeciwnie jest wszelka nadzieja, że „Bank” taniej majątki nabędzie, niż komisya kolonizacyjna, wszakże do dziś dnia znane są liczne przypadki, że sprzedający polskim nabywcom znaczne robili koncesye. Ale czy znajdują się dostateczni polscy nabywcy?

Zwykła dotychczasowa odpowiedź brzmi: „Lud nasz ma pieniądze, wszakże miliony leżą w depozycie mało-miasteczkowych Spółek pożyczkowych i t. p.” Chcąc mieć pod tym względem lepsze informacje udaliśmy się z zapytaniem do kilku adwokatów i notariuszy, którzy z doświadczenia znają ruch posiadłości małych, a odpowiedzi nie bardzo nas pocieszyły.

Transakcyę większych (50—100 morgowych) gospodarstw bardzo mają być rzadkie, przeważa parcelacya większych gospodarstw na małe parcelki dziesięciolub dwudziesto morgowe za pośrednictwem agentów możniejszego wyznania. Kto nie wierzy, niech się uda do najbliższych Poznania wsi t. zw. „gospodarskich”, a przekonają się o prawdziwie słow powyższych.

Dalszym dowodem na słowa powyższe niech będzie znany powszechnie fakt, że nasze wielkie dominia w latach 1874—1884 wykupiły bardzo wielką ilość granicznych małych gospodarstw i wcieliły je do swego folium hypotecznego. W tej mierze najwięcej przykładów w powiatach szamotulskim, wągrowskim i inowrocławskim. I cóż się stało z tymi gospodar-

stwami, którzy swe grunty sprzedali? Odpowiedź trudna; część wyemigrowała do Ameryki, część okupiła mniejsze parcelki („plusy” w narzeczu ludowem), ale nie było przypadku, żeby zakupiono i rozdzieleno większą własność. — A zatem najlepszy dowód, że nie okazała się u nas dotychczas potrzeba kupna mniejszych posiadłości, gdyż z pewnością znalazłby się agenci, którzyby interes takie przeprowadzili. — Dotychczas przeciwnie własność większa pochłaniała małe gospodarstwa.

W obec takich warunków zapytajmy się, ilu potrzebować będziemy kolonistów. Cyfry nasze jako oparte li tylko na prawdopodobieństwie nie mogą mieć pretensyi do dokładności. Działalność Banku kolonizacyjnego, potrzebującego wiele czasu na przeprowadzenie interesu możemy jedynie większymi zająć okresami. Za podstawę bierzemy pięciolecie. W tym przeciągu czasu może Bank przy powodzeniu obrócić kapitałem 5000000 marek, czyli za tę sumę kupić i sprzedać ziemi, czyli biorąc ziemię po 50 talarów za morg jako cenę przeciętną miały Bank do sprzedania 33,330 morg. Licząc parcele po 33 morgi, jako najbardziej pokupne potrzebowalibyśmy 1000 parcelantów, czyli cyfry wcale pokazują.

Cyfry są może wysokie nieco, gdyż wychodzą z zasady prosperowania zupełnego naszego Banku, ale nie są przesadzone jeżeli zwązamy, że Bank ma pośredniczyć w parcelacyach osób prywatnych, którym znaczną liczbę parcelantów będzie musiał przekazać, chcąc swe zadanie wypełnić. Znaleś u nas w Księstwie 1000 parcelantów w ciągu pięciolecia, to rzecz nie łatwa, ale zdaniem naszym nie niemożliwa. Zasiła nas może Prusy, gdzie ostatnie kolonizacye wykazały znaczną liczbę konkurentów. U nas może trzeba będzie szukać tych kolonistów, gdy się sami nie zgłoszą. Na tę alternatywę przygotować się musimy. I tu jest ów Rhodus, tu najtrudniejsze zadanie przyszłej dyrekcji. Będzie trzeba rozwinąć szeroką agitacyę po wsiach i małych miastach, po Kótkach wołoskich, wypadnie wpływem prasy ludowej zwalczać u ludu chęć wychodztwa za morze z jedną, a z drugiej strony wstręt opuszczenia wsi rodzinnej.

Czynności tej parcelacyjnej przychodzi zresztą w pomoc nasze korzystne stosunki kredytowe, landschafta dla małych posiadłości i Bank wołoski. Wobec takich stosunków nie potrzebują nasi koloniści więcej jak 40 proc. ceny kupna mieć w pogotowiu, czyli dwoma milionami mogą parcelanci ziemi za pięć milionów nabyć. Ze sumy takie lud nasz posiada, to nie podlega najmniejszej wątpliwości.

Według naszego zdania Bank kolonizacyjny ma wdzienne, ale trudne zadanie, gdyż nie dzieląc optymistycznych zdań o znacznej liczbie kandydatów na małą posiadłość, przynajmniej musimy, że przy sprzyjstwej agitacyi znajdziemy potrzebnych parcelantów, obudzimy chęć kupna, ułatwiając jego podstawy.

Wracając raz jeszcze do naszego pierwszego dubium, możemy tylko zanieść prośbę do rady nadzorczej i akcyonaryusz, żeby się postarali o takie sformułowanie statutów, któreby wykluczały wszelki interes hazardowy lub spekulacyjny, nie wiążąc zarządów rąk tam, gdzie nie chodzi o ratunek osobistości, ale o wypełnienie zadań Banku bez niebezpieczeństwa strat i uratowanie ziemi.

— Zamordują was jeszcze kiedy... mówią. Chmielnicki się śmiał, a oczy mu się iskrzyły.

— Chodzę ja wprawdzie po śmierć — odpowiadał — ale nie dla siebie... Każdy mój krok znaczący jest krwią, ale nie moja...

— Toż pozwólcie mi towarzyszyć sobie przynajmniej... — prosił Krzyżewski.

— A po co? niebezpieczeństwa żadnego nie ma, bo na jeden znak, nie setki ale tysiące za mną powstaną... Gdybyś ty miał bystre oko, a dojrzał, co się na Ukrainie dzieje!... Takich Czaplinski, jak mój, w każdym siole niemal spotkasz... fortuny pańskie rosną; obok Wiśniowieckich, Potockich, Kalinowskich, inni mniejsi już są, a podstarostwie ich pracują dla nas... dla mnie...

Od pewnego czasu przebywał Chmielnicki najczęściej na pustym ostrowie, niedaleko Czerkas; tam zbudował sobie drewniane dworzisko o dwóch izbach i z kilku wiernymi kozakami zamieszkał.

Co wszakże zamyslał, przewidzieć było trudno. Krzyżewski przeczuwał, że bunt knowa, że o wielkim rokoszni myśli i bał się. Widział bowiem, że cała kozacka obrócona w pospólstwo, spała na pozór w zupełnej bezczynności od lat wielu; zdawało mu się, że rejestrowcy i Barabas w pierwszym rzędzie przeciw buntowi by się oświadczyli, zwłaszcza, że w każdym grodzie, Korsuniu, Czerkasach, Czehrynie, był starosta królewski z całą czeredą drabów i pacholów...

Takie wątpliwości i obawy przychodziły Krzyżewskiemu do głowy, lecz gdy się zwierzał z tém Chmielnickiemu, on jeno za boki się brat i śmiał się.

— Zobaczysz — mówił — będę ja miał hasło, a woneczas i czort mi nic nie poradzi...

O tém hasle wspominał często, ale

Przyczynki

do oceny bezwyznaniowej szkoły.

Zaniedbywanie albo zupełne wykluczenie religijnego wychowania tak w wyższych, jako też w niższych szkołach rządowych wykazuje z nieublaganą konsekwencyą najsmutniejsze rezultaty, i coraz wyraźniej odzywają się głosy tych, którzy wyrządzone tém szkody konstataują i oplakują. Większość uczniów szkół dzisiejszych zdradza wielką niezajomość prawd religijnych, a doroste chłopcy i dziewczęta jedynie pobieżnie znają najniezbędniejsze nauki katechizmu. Następstwa bezbożnego wychowania są w rzeczywistości wielce niebezpieczne. Wielkie miasta nasze liczą coraz znaczniejsze zastępy bezbożnej i niewiernej młodzieży. Dziecięcia część i naturalny pietyzm względem przelotnych jakiegokolwiek rodzaju coraz więcej znikają z pamięci, a skromność i przyzwoitość często zupełnie już zatracone zostały. Młodzież zapominała się rumieć, co nawet starzy poganie uważali za oznakę zdolnego do poprawy człowieka.

Ale i najwytrawniejsi męzowie nowszych czasów, i to nie tylko „ultramontanowie” — byli zdania, że religijne wychowanie jest niezbędnym warunkiem dobrego życia człowieka. Wolnodumca Diderot twierdzi n. p.: „Religia powinna być pierwszą lekcją człowieka i lekcją wszystkich dni jego.” Angielski mąż stanu Disraeli powiedział w swoim czasie: „Uważam to za stwierdzone, że ten system narodowego wychowania, który nie polega na znajomości religii, sprowadzi na kraj cały nieszczęście i więcej jeszcze stanie się niebezpiecznym dla państwa, aniżeli dla Kościoła.” Girardin mawiał: „Nie wystarczy uczyć religii tych, którzy ją nauczać, ale potrzeba uczyć jej i tych, którzy prawa jej wykonywać mają, — a więc wszystkich bez wyjątku. Bez religii usypia dusza i jedynie zmysłowości i namiętności zostaną rozbudzone. Stworzyć szkoły przemysłowe z pominięciem nauki religii znaczy tyle, co organizować barbarzyństwo i to barbarzyństwo naokropniejsze ze wszystkich.” Zjający dziś jeszcze Gladstone powiedział w roku 1878 w parlamencie angielskim: „Każdy plan nauk, który nie zawiera nauki religii, jest niebezpiecznym, a protestant Guizot żądał, ażeby w szkołach młodzieź nie tylko znała zasady katechizmu, ale żeby wpływ religijny wyudatniał się w całym życiu szkolnym. „Nauka jest niczem bez wychowania, a wychowanie niczem bez religii”, powiedział przy pewnej sposobności.

Najwymowniejszym dowodem okropnych następstw bezreligijnego wychowania jest Paryż, stolica Francyi, ów zbiornik wszelkich idei przewrotu. Dzieje miasta tego coraz ciemniej się rysują na tle dziejów Francyi, a to jedynie wskutek zupełnej bezwyznaniowości szkół miejskich. Jeżeli członek paryżkiéj rady miejskiej powie do uczniów przy rozdzielaniu nagród za pilność: „Dzieci moje! Zarzucają nam, żeśmy wyrzucili ze szkoły Pana Boga, ale czy można wyrzucić kogoś, który wcale nie istnieje!” — to cóż po młodzieży tak wychowanej spodziewać się można? A spojrzmy jeszcze na nagrody udzielane dzieciom paryżkim. Spotykamy tam nieraz nie tylko zupełnie bezwyznaniowe, ale co gorsza, wręcz domoralizujące i nieprzyzwoite książki! W niedzielę zaś, gdy czas do kościoła, oprowadzają

co miało oznaczać, nigdy odkryć nie chciały.

Na wiosnę r. p. 1647, przybył na Ukrainę, pod pozorem zwiedzenia dóbr swoich, kanclerz koronny Jerzy Ossoliński. Bawił on długi czas w Czerkasach, u tamtejszego starosty, Kazanowskiego, obożnego koronnego, a konferował długo z Barabasem i znowu jakieś obietnice w imieniu królewskim czynił. Wezwano też do tej parady i Chmielnickiego, który niechętnie poszedł, bawił trzy dni w Czerkasach, a potem wróciłszy na ostrów, rzekł do Krzyżewskiego:

— Mądry to pan ten Ossoliński... gdyby wszyscy byli tacy, możnaby z nimi gadać. Ja wiem, że król Najjaśniejszy dobrze chce... ano, szlachta nie dopuści...

Długi czas potem Chmielnicki pogrążony był w myślach ponurych. Pił jeno dużo, a gdy mu w głowie szumiało, to się zrywał, biegał po izbie i mrucał:

— Zniszczyć Turcyę, wielkie państwo wschodnie unafundować... ładna myśl! ale gdzie im! gdzie im! nie dopuszczaj!

W tym czasie przybyli na ostrów, kędy już Chmielnicki dworzysko swoje szcącami otoczył i obwarował — posłowie tatarscy. Bawił się z nimi Bohdan dni kilka, pił, biadałował i zaraz potem puścił się znowu sam ku Zadnieprzu, ku Sicz.

Tam mu już całe owo Ossolińskiego poselstwo z głowy wywietrzało, bo gdy mu znać dano, jako są nowi gońce królewscy, którzy wzywają go, aby do Czerkas przybył, Chmielnicki ruszyć się nie chciał i hardo odparł, jako na próżne gadania czasu tracić nie może.

Aż tu dnia jednego, w samym środku lata R. P. 1647, przybył na ostrów do Chmielnickiego ataman Barabas. Był to już człek w lecich podeszłych, lecz krzepki i silny; wysokiego wzrostu, oka-

nauczyciele uczniów swoich po teatrach, gdzie się w tym czasie próby odbywały, ażeby tylko przeszkodzić uczęszczaniu dzieci do kościoła.

Bardzo wymownie potępił niedawno temu amerykański mąż stanu, Zacharyas Montgomery, system bezwyznaniowej nauki. Zastępnym ten polityk zapamiętał się na sprawę tę nie tylko ze stanowiska religijnego, ale głównie ze stanowiska prawa natury i sąd swój poparł listami duchownych i świeckich męzów, pomiędzy którymi było wielu zasłużonych pedagogów. Zaprzeczył on także zarzutem, jakoby w szkołach katolickich nie robili uczniowie znacznych postępów w naukach i przypomniał, że niedawno temu przy wstępnym egzaminie do szkoły wojskowej w West Point otrzymano trzech uczniów szkół katolickich najwyższe nagrody.

Alle pomimo tak widocznych i tak pochwytnych owoców, jakie wydały szkoły bezwyznaniowe, przemijają wszelkie nawoływania i skargi bez wrażeń. Sfery rządzące nie ustają w zabiegach, pragnąc coraz więcej pozbawiać szkołę charakteru religijnego zakładu wychowawczego. Wobec takich warunków dziwić się nie można, że moralna zgnilizna szerzy się z zatrważającą szybkością.

Przytoczymy tutaj jeszcze na zakończenie zdanie włoskiego dziennika „Fanfulla” o szkołach katolickich, i to zdanie wyrażone w polemice z półrządową „Tribuną”. „Pojmujemy niezadowolone „Tribuny” — czytamy w rzezonéj polemice — że tylu rodziców liberalnych posyła dzieci swoje nie do szkół rządowych, ale do szkół „klerykalnych”. Wina tu atoli nie spada na liberalnych rodziców lecz jedynie na tych, którzy dźwierzają władzę w państwie i w gminach. Niechaj państwo i gminy stworzą szkoły, w których dzieci tak zbawienia pobierać będą naukę, jak w szkołach „klerykalnych.” Wówczas to przekona się „Tribuna”, że szkoły te niebawem się zapelnia. Dzisiaj bowiem kształcą się dzieci w szkołach rządowych jedynie na papugi albo, co gorzej, na osłów.”

Oto mamy już i sąd arcyliberalnego i wrogiego dla Kościoła organu o zbawienności szkół „klerykalnych”, a raczej wyznaniowych. Czy to nie wystarcza?

W sprawie komitetu centralnego

który już od lat tylu pokutuje w pewnej części prasy naszej i na różnych zebraniach przedwyborczych, zamieszcza pelpliński „Pielgrzym” następujące uwagi:

„Goniec Wielkopolski” z wytrwałością pracuje od lat wielu nad utworzeniem komitetu centralnego, któryby jedną a najwyższą władzę wyborczą stanowią dla Poznanskiego, Prus Zachodnich, Śląska, Warmii i Mazur. Dobra jest centralizacya, dobre takie zespolenie sił i zgodne działanie a w zasadzie nikt pewnie z dobrze myślących nie będzie się opierał takiemu „zestrzeleniu myśli i ducha w jedno ognisko.” Myśl ta jest dla narodu nie tylko sympatyczną dla tego, że nauczani przykładem przodków, przez których niezgodę i niejedność ojczyzna padła, ostrzedz byśmy się chcieli tych błędów, w ten sposób dojrzałość polityczną dokumentując, ale wydaje się dlań pozornie konieczną dla tego, że rzecznik komitetu, „Goniec Wielkopolski” stawia ją jako warunek wszelkiego naszego powodzenia wyborczego, jako deskę ratunku prawie.

Ne quid nimis! Goniec podkłada pod

zależ postawy. Między nim a Chmielnickim była dawniej zażyłość wielka, ale od czasu zajść z Czaplinskim, zwłaszcza zaś gdy Barabas buntowniczych zamiarów pisarza zaporockiego popierał nie chciał, a zawżdy za sprawami Rzeczypospolitej i króla się umował, Chmielnicki znieawidził atamana i wszelkiej wspólności z nim się wyrzekł.

Wszakże gdy ataman na ostrów przybył, Chmielnicki wyszedł ku niemu i powitał z atencyą wielką, kazał zaś obfity ucztę przygotować na przyjęcie i najprzedniejsze wydobyc trunki, wiedział bowiem, jako Barabas pić lubi i pije wiele.

Nadsprzedzianym jednak Barabasem tym razem był przezorny. Śnać ważne miał do Chmielnickiego sprawy i chciał je jasnym umysłem wyłożyć, bo trunku zrazu unikał, był zaś zamysłony i szukał widocznie okazji, aby rzecz sztucznie rozpocząć.

W większej izbie dworzyska zastawiony był stół prosty, wielki, a na nim rozliczne potrawy z ryb i zwierzyny, tudzież dzbany z winem i kielichy. Przy stole siedzieli jeno Barabas z Chmielnickim, a przy drzwiach stał kozak, Filon Dzedziel, który Barabasowi służył. Chłopto był rośli, barczysty, o rysach bardzo wybitnych; twarz miał ciemną i włosy czarne, kędzierzawe, nos orli, twarz bardzo długą, ożywioną oczami, co się jak dwa węgle żarzące paliły. Ubrany był w krótką koszulę płócienną, pasem skórzany przepasaną; na plecach futrem obrócona do góry wisiła skóra barania, siwa; z takichże baranków czapkę, zwaną birka, trzymał w jednej ręce, drugą zaś opierał na jataganie za pas zatknętym. Od czasu do czasu spoziierał on na Barabasa z widoczną pogardą i nienawiścią, a chwilami patrzył na Chmielnickiego, jakby się z nim wro-

zacięto szerokie fundamenta, stawia mu barito wielkie cele. Mówi tak: Cokolwiek się Rodacy na walnych zebraniach uchwalili, wszystko to za nic będzie, jeżeli nie uchwalicie komitetu centralnego, któryby Braci naszych wspierał miłością, opieką, radą i groszem. Za miłość Bóg wam zapłaci, bracia Wielkopolanie! Sądzimy jednak, że my już i wczoraj i dziś bez komitetu centralnego miłowaliśmy i miłujemy się jak bracia serdecznie. Jakby się ta spotęgowana miłość pod komitetem lub w skutek komitetu centralnego ujawnić miała, nie umiemy sobie wcale wyobrazić. — Dalej chcecie nas wspierać opieką. Dobra i to, ale pozwólcie sobie powiedzieć, że w tym domu, u siebie macie tak wiele okazji i potrzeby do użytkowania tej opieki, która się lepiej opropocentuje, gdy nią własne otoczenie instytucye i przedsiębiorstwa, zamiast zapraszać ją po granicę, gdzie ona bądź co bądź tylko względnie być może. Toceśmy o własnej opiece przetrwali do dziś, a takie przeświadczenie, że ktoś się nami będzie opiekował, gotowo wpłynąć ujemie na nas. — Dalej chcecie nam dać radę. Miła nam rada, ale najskuteczniejszą do stosunków naszych zastowaną radę, my sami sobie jedynie dać możemy, bo oczywiście najlepiej znamy furtki i furteczki naszego położenia! — Wreszcie wspierał nas chęćie groszem! Czy wy macie taki zbytek grosza? Przypomina to nam, jak wówczas, gdy się pojawił projekt Banku ziemskiego, liczne sąły nadzieje z Galicyi do was, zdawało się, że setki tysięcy nadejdą z tamtąd. Wiemy wszyscy jak się maluczko z tego zrobiło. Nie mogłoby tu być, jak tam? Wybyście dali, wierzymy, ale nie możecie. Albo zważcie, jakby nam zaciążyła wasza ofiara, gdyby miała powiększyć passywa wasze, uszczuplić polskiéj ziemi, ułatwić rzecz kolonizacyi. Więc wy nam dać nie możecie, a my przyjąć nie możemy.

Przeżeto ne quid nimis, panowie! Ale przypuścmy, żeby stanął komitet centralny i wspierał nas miłością, opieką, radą i groszem. Czy sądzicie, żeby mógł działać z takim skutkiem, z jakim się spodziewacie, lub osiągnąć cel, jaki mu wytknęliście? Nie, a główna przyczyna leży w odrębności położenia pojedynczych części Polski pod rządem pruskim i w odrębności charakteru mieszkańców. I my nie mamy nic przeciw komitetowi centralnemu, ale nie możemy mu przypisywać takiej ważności, jak „Goniec Wielkopolski.” Owszem, niech będzie komitet centralny; niech stanie jako symbol naszej jednności i zgody, jako widomy dowód, że się czujemy jedną całością, ale nie więcej. Dotychczasowe komitety poznański i zachodnio-pruski niech się nazwą komitetem centralnym, niech się zjeżdżają na naradę, umowę, informacyę ogólną, ale niech tak jeden, jak drugi pozostanie w tym samym stopniu samodzielnym i swobodnym jak jest dzisiaj. Mianowicie zaś niech Wielkopolska nie rujnuje się dla nas, dla Warmii, Śląska lub Mazur. Powiedzieliśmy już, że ona nie ma zbytku pieniędzy, ale i ludzi zbytku nie ma, żeby nimi wszystkich nas obdzielili mogła. Na co pożywać się pracowników, na co opróżniać u siebie stanowiska i osłabiać życie? Ma Wielkopolska względem siebie takie wielkie a święte obowiązki, że jej nie wolno ani ludźmi, ani groszem nieopatrznie szafować.

Komitet Centralny z takimi wpływami, dąnościami, i wielką a hojną kieszenią wpłynąłby wprost ujemnie na nasz

kiem porozumieć pragnął i oczekiwał znanu. Rozmowa szła leniwo; Barabas widocznie mówił coś chciał i szukał tej rozmowy początku, Chmielnicki zaś pił sam wiele, a gniewał się w duchu na dziwną trzeźwość gościa. Gdy tak siedzieli czas dłuższy naprzeciw siebie, czując obaj, że ich jakaś niewypowiedziana a ważna myśl przegadzała, pierwszy Chmielnicki milczeniem przerwał i z niecierpliwością pięścią w stół uderzył.

— Nie smakuje wam moje wino, mości atamanie! — krzyknął.

Barabas zwolna głowę podniósł i ręką siwą brodę gładził.

— Wino jest dobre... — rzekł — i przyjęcie wspaniałe, jakimom się za tym ostrowie nie spodziewał.

— To wam gospodarz nie w smak, że mu nie dotrzymujecie! — zawołał znowu Bohdan — jam już pijan, że mi się głowa zawraca, a ja nie...

Barabas się uśmiechnął.

— Znam ją naturę waszą... — odparł — po pierwszym kubku głowa wam się zawraca a po dziesiątym trzeźwieje...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Bohdan. — Jój Bohu prawda! Toż muszę pić, aby otrzeźwić, lecz nie sam, jeno z wami... Filon! — zawołał do kozaka stojącego u drzwi — powiedz no służbie, aby dano dzban tego wina, co to jeszcze...

Strzymał się po chwili: — Tego, co to z pod serca... — dorzucił.

Filon wyszedł, a Barabas zagadnął: — A jakież to wino z pod serca?

Iskrzącym wzrokiem rzucił Chmielnicki przed siebie, zachnął się i po chwili odrzekł chmurno:

— Jeszcze po ojcu mam wino... od Koniecpolskiego hetmana...

(Ciąg dalszy nastąpi).

VETO!

POWIEŚĆ
ADAMA KRECHOWIECKIEGO.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy. — Zobacz numer 201.)

Rosło tedy z dniem każdym niezadowolone na Ukrainie wśród kozactwa obróconego w pospólstwo... trzymały się jeno w wierności dla Rzeczypospolitej rejestrowcy i ataman Barabas.

Chmielnicki tymczasem wyparty przez Czaplinskiego ze swéj slobody Sobotowa, zbiegł na Niż i zamieszkał na jednym z ostrowów dniewprowych. Krzyżewski pozostał w Czehrynie, gdzie nad częścią rejestrowych kozaków dowództwo miał, ale na ostrów do Bohdana często potajemnie zachodził. Dostrzegł on też niebawem, jako Chmielnicki nowe jakieś a stanowcze ma plany, z którymi nawet przed nim się nie zwierza. Zwykła Krzyżewskiego przezorność śnać go już znudziła, więc nie chcąc opozycyi słuchać, milczał; czasem jeno, gdy podpił, wpadał w wściekłość i krzyczał a przeklinał, ale z tych przekleństw żadnego wstępu chwycić było niepodobna. Często też Bohdan, w przebraniu prostego kozaka zniknął na długo; słuł się po Zaporoziu, zwiedzał Sicz całą, kosze i kurenne, zawiązywał stosunki z kozakami i kurennymi atamanami, z assawulami i sotnikami, zapuszczał się też wyżej aż do Kijowa, chodził po wsiach pomiędzy chłopstwo, zwiedzał wszystkie slobody i pańki kozackie — a z wypraw tych powracał z coraz większym ukontentowaniem.

Krzyżewskiego zaś przejmował lek okrutny.

rozwoj, mianowicie zaś na rozwój tych klas narodu, które są nadzieją jedyną naszą, — ludu! Dotąd wiemy, że stoimy sami i sami o sobie radzić i sobie pomagać musimy. Pod Komitetem Centralnym będzie się nazywało inni radzą za nas. Byłby to skutek fatalny, a ów „darowany grosz“ zniechęciłby nasz lud, zniechęcił go, przyzwyczaił do jałmużny w tym stopniu, iżby do cna kieszeń zamknął na potrzeby narodowe, mówiąc: niech płacą, kiedy mogą i chcą! A czy wy zawsze będziecie mogli i chcieli? Nie trzeba tego ludu mieć pozorami, nie trzeba go wyręczać zbyt gorliwie, a niepotrzebnie w jego obowiązkach, przeciwnie, nagą prawdę mu podawać, stawiać przed koniecznością, niech się mociuje i hartuje, wtedy wyjdzie na obrzyma, podczas gdy w takiej gągatkowej opiece stanie się sorkiem — karłem!

Nie jesteśmy więc przeciw Komitetowi Centralnemu, lecz tylko jako doskonalszej od prowincjonalnych komitetów, lepię na zewnątrz przedstawiającej formie naczelnej władzy naszej wyborczej, nie więcej. Jestto sumieniem przekonaniem ludzi, którzy od wielu lat z uwagą, rozumem i miłością patrzą na nasze życie, którzy na wskroś znają stosunki, że przez Komitet Centralny, choćby najświetniej zorganizowany ani jednego posła więcej przeprowadzić nie zdołamy. Nie ludźmy siebie i opinii i nie narażajmy na rozczarowanie i zrozpaczenie.

Kardynał Lavigerie w Belgii.

Bruksela, 16 sierpnia.

(Dokończenie.)

Nie przyrzekam nagród ludzkich tym z pomiędzy Was, którzy wyjadą. Dostaną tylko, co się daje apostołom: pożywnie i przydziewek. Przyrzekam im nie nagrody ludzkie, lecz tę radość sumienia, jakiej człowiek doznaje, gdy mógł z niebezpieczeństwem swego życia uratować jednego ze swoich bliźnich.

Czy Wam się to kiedykolwiek zdarzyło, moi najmilszy Bracia? Nie błogosławiście temu dniowi, w którym Bóg pozwolił Wam uratować jedno stworzenie?

Otóż tam znajdują się miliony stworzeń do uratowania od śmierci morderczej, do wyrwania ze szpon tych sępów, które je szarpia. Lecz i tutaj to zwrócić się do Was wszystkich, jak jesteście obecnie na tym miejscu: wyjechać, jest to rzecz piękna; poświęcić swe życie, jest jeszcze piękniej; lecz są potrzeby materialne, z którymi się człowiek musi liczyć. Nie wystarczy mieć bohaterów, takich, którzy ofiarują się zostać męczennikami, gdy tego będzie wymagała potrzeba; trzeba nadto być w możliwości dania im tego, o czym Wam przed chwilą mówiłem, a co się daje apostołom: pożywnie i przydziewek. I na to powinny się zdobyć narody chrześcijańskie. Z mało znaczną siłą, składającą się ze stu ludzi i uzbrojonego statku, na Tanganyce dla zamknięcia prowincjom kongolskim głównej drogi niewolnictwa, można przeszkodzić handlowi. Potrzeba 100 ludzi. Nic więcej.

Lecz trzeba znaleźć środek na ich wyposażenie, uzbrojenie, odbycie podróży. To jest bardzo kosztowne, najmilszy Bracia.

Gdy pierwszy raz wysłałem misjonarzy do tego kraju, w liczbie dziesięciu, wydałem — aby wszystko zapłacić, ich podróz, ich instalację, ich utrzymanie przez jeden rok — 400,000 franków, które mi katolicy dali.

Aby postawić na nogi legion ze stu ludzi złożony, wyekwipować go, kazać mu odbyć podróz aż na miejsce przeznaczenia, wystawić statek na Tanganyce, czy wiecie, wiele potrzeba?

Potrzebny jest milion! To wiele, powiecie mi, gdy go się żąda od jednego; lecz gdy go się wymaga od całego narodu, już nie jest tak wiele, zwłaszcza, gdy się pomyśli, że za milion franków uratuje się życie miliona ludzi.

Czy to jeden frank za wiele, aby uratować waszego bliźniego? Któżby go odmówił? Otóż, z wyżyny tej kazalnicy, otwieram dla waszej Belgii ogólną subskrypcję, aby stworzyć świętą milicję z ludzi, którzy się poświęcają dla ratowania życia swoich bliźnich. Nie ma większego miłosierdzia nad takowe. Zstępując z kazalnicy zapiszę się na czele listy, którą wręczę ks. proboszczowi od św. Guduli. Poproszę następnie prasę belgijską, aby zechciała podawać nazwiska podpisujących. Wyszukują możność nazwiska dawnych krzyżowców. Trzeba, aby mogli znaleźć, gdy później poszukiwać będą, nazwiska przyszłych krzyżowców, tak tych, którzy wyjadą, jak tych, którzy im dopomogą do wyjazdu i pozwalam sobie polecić takowe dzieło wielkiego miłosierdzia, któremu ostatecznie wszystko jest posłuszne, t. j. opinii publicznej, reprezentowanej przez prasę. Zczyliście sobie, aby znalazła ona miejsce w tym audytorium. Jest tutaj reprezentowana i pozwolę sobie po prostu to jej powiedzieć:

„Przybywam z Anglii. Jestem Kardynałem. Miałem mówić między protestantami na jednym zebraniu. Przed wiekiem zostałbym może zakrzyżany i wygwizdany — tak bardzo namiętności religijne były jeszcze żywe — podczas gdy teraz

doznałem przyjęcia najsympatyczniejszego. Nie ma ani jednego dziennika w Anglii, któryby nie przyklasnął memu krokowi i nie podzielał mych uczuć. Może, widząc mój ubiór czerwony myśli, iż nie było to tyle ubranie mej godności, jak raczej krew całej Afryki, krew tych niewolników bez liczby, o których wam mówiłem.“

Teraz jedno słowo. Zamierzam utworzyć przez odjazd — jak się już stało w Londynie — komitet przeciw niewolnictwu, wyłącznie złożony z Belgijczyków, mający na celu utrzymanie w waszym kraju ognia, jaki się staram dzisiaj zapalić. Ten to komitet będzie przyjmował zgłoszenia i dawał informacje tym, którzy się zgłoszą. Ten to komitet zajmie się wyszukaniem środków i zasobów. Ten to komitet rozdziała je będzie, aby naprawić co się tam dzieje w kraju, noszącym wasze nazwisko.

Będą to jedynie serca i ręce belgijskie, i ja błagam Boga w tej chwili, aby błogosławił waszemu narodowi, temu narodowi belgijskiemu, który w przeszłości dał pod tym względem tak świetne przykłady.

Idąc przed chwilą do tego kościoła, przechodziłem koło pomnika Gotfryda z Bulionu i spoglądałem na niego z podziwieniem i z uszanowaniem. Przypomniałem sobie, iż kiedyś wybrał się na wojnę krzyżową, prowadząc ze sobą 80,000 waszych rodaków, na których czele znajdowali się hrabiowie Flandryi i Henegawii. Przypomniałem sobie, iż poświęcił swe życie dla tej wielkiej sprawy i że można go policzyć w poczet męczenników. Widząc waszą przeszłość, pomyślałem sobie, najmilszy Bracia, że „noblesse oblige“ i że skoro wasi przodkowie potrafili wystawić 80,000 ludzi na wywabienie narodów chrześcijańskich wschodu i Grobu świętego, nowoczesna Belgia znajdzie łatwo 100 ochotników, aby pójść na pomoc kalwaryi afrykańskiej i milionom dusz, które tamże w przekleństwie umierają.

Kończąc prosząc Was o przebaczenie, najmilszy Bracia, iż Was tak długo zatrzymałem. Jest to błąd starsów, jest to błąd pasterzy. Jest to błąd tych, którzy kochają i którym się zdaje, iż nigdy dosyć nie mówią o tych, którym oddali swe serce.

Najmilszy Bracia! Wnoszę do Boga me drzące ręce i proszę Go, aby błogosławił wszystkim tym, którzy są tutaj i całej tej Belgii tak wspaniałomyślniej, jako też tym wszystkim, którzy są Wam drodzy tutaj na ziemi.

Dnia pewnego, w zamian za Wasze dobre uczynki, usłyszycie tam u góry słowa Wam znane: Chodźcie, chodźcie! błogosławieni mego serca; wszystko, co-kołwiek uczyniliście, dla mnie uczyniliście. Niech Was Bóg błogosławi!

Na zakończenie dodaje, iż wychodzącego Kardynała Lavigerie obstarpyli goście tłumy ludu, z których dał się słyszeć jeden okrzyk: Niech żyje wielki cywilizator!

Kardynał zwracając się do tego, który wydał ten okrzyk, rzekł mu: „Niech Bóg błogosławi temu życzeniu, mój synu.“

Stosownie do życzenia i zapowiedzi Kardynała Lavigerie pierwsza lista subskrybujących będzie ogłoszona po upływie tygodnia. Między pierwszymi subskrybującymi już teraz wymieniam króla belgijskiego (na 15,000 franków) i pana E. O., który w pierwszy dzień telegrafem z Ostendy 5000 franków ofiarował. Do mającego się zaś utworzyć legionu ochotników zgłosiło się już dotychczas przeszło dwadzieścia młodych ludzi.

Korespondencje Kurjera Pozna.

Z pod Rawicza, 31 sierpnia.

(Ze Ślązkowa.)

(X. S.) Donosiliście w piśmie Waszém, że ze Swiniar pono uciec miało świeżo dwóch kolonistów. W Ślązkowie, zakupionem, jak wiadomo, również na kolonizację, nierównie źle się dzieje. Pisaliście już, że dwóm kolonistom sprzedano żyto na pią — inny został wydalony, — dziś słyszę, że prawie wszyscy bankrutują i kto wie, jak Ślązków w roku przyszłym wyglądać będzie, jeżeli rząd nie przyjdzie z pomocą. Kolonistom coraz gorzej się wiedzie, a co ich samych nie mało oburza, to pogłoska — nie wiem, o ile prawdziwa — że w innych koloniach rząd sam budoje, gdy tymczasem tu oni sami pobudować się musieli. Ta budowla mianowicie daje im się odczuwać, bo zapłaciwszy na raty za rolę, sprowadzili się bez grosza. Byłem niedawno w Jutrosinie i poznałem, jakie ogólne tam panuje oburzenie, bo kolonisci ani za cegłę, ani za drzewo nie płacą — wszystko biorą na kredyt. Biedacy ani porządnych wozów nie mają i widziałem, jak po doktora przysłali w prostym wozie z deskami od miernicy. Przyjemna to jazda dla lekarza! Dotychczas pożyczali sobie wózka, od jednego z gospodarzy polskich, ale tenże nie chce im więcej go pożyczać, gdyż mu go zupełnie zmarnowali. Jeżeli to tak dalej pójdzie w Ślązkowie i gdzieindziej, to kolonizacja będzie poronionem dzieckiem. Ze Ślązkowa najchętniejby wszyscy uciekli, gdyby ich z kontratu zwolniono.

Warszawa, 25 sierpnia.
Żniwa tegoroczne. — Pożyczy na zastaw zboża. — Bezpośrednie dostawy do armii. — Sprawy gorzelnicze.)

(Dokończenie.)

Nie ulega kwestyi, że usunięcie pośredników, zabierających tu u nas lwią część tak już nieznacznych zysków, jakie przynosi rolnikowi uprawa zboża, zapewnić może rolnictwu niejakie korzyści. Korzyści te jednak równoważą się po części uciążliwymi utrudnieniami, jakie spotykamy w przepisach projektu bezpośredniej dostawy dla armii. Przy tym uwzględnić jeszcze należy miejscowe nasze warunki. Najpierw więc dotychczasowej dostawy, żydź, w obawie, aby im się nie wysunął z ręki tak zyskowny interes, jakim były wskutek rozmaitych niejasnych manipulacji dostawy dla armii, poruszą wszystkie sprężyny, a jest ich tu u nas nie mało, aby próba bezpośredniej dostawy przez producentów, wypadła jak najniekorzystniej, a dalej trzeba mieć na uwadze, że znaczna część zysków, jakie w danym razie mogłyby mieć producenci zboża z bezpośredniego dostawienia swego płodu do magazynów wojskowych, ginie w skutek znacznych mnił lub więcej wyraznych „łapówek“, które oplatować musi na każdym kroku, chcąc tutaj u nas zrobić jakikolwiek interes; zysk więc osiągnięty nawet wskutek cokolwiek wyższych staje się fikcyjnym.

Ale mimo to przyznać trzeba, że rząd rosyjski wchodzi w smutne położenie rolnictwa krajowego i stara się mu przyśpieszyć w pomoc w rozmaity sposób. Świadczą także o tendencji rządu projektowane ulgi dla gorzelni rolniczych w Królestwie Polskiem i cesarstwie rosyjskiem, ulgi, nad którymi radzono tutaj w Warszawie przed kilkanaściami pod prezydencją pana Jermalowa, dyrektora departamentu dochodów niestanowiąc w ministerstwie skarbu. Aby jednakowoż zrozumieć doniosłość tego projektu, trzeba rzucić okiem na położenie gorzelnictwa, tej najważniejszej gałęzi rolniczego przemysłu. Obowiązujący obecnie system akcyzny przez czas 25-letniego istnienia, więcej niż podwoił dochód od trunków, a mianowicie ze 106 milionów podniósł go do 225,000,000 rubli rocznie. Powiększenie to osiągnięto przez stopniowe podwyższenie akcyzy z 4 do 9 kopiejek od stopnia spirytusu bezwodnego i przez ograniczenie ilości bezakcyjnej superaty, odliczanej na korzyść właścicieli gorzelni. Rezultat ten bez kwestyi korzystny dla interesów skarbu, niekorzystnie wpłynął na przemysł gorzelniczy.

Pod wpływem bowiem wysokiej opłaty akcyjnej, przewyższającej niejednokrotnie wartość samego produktu, tak sama produkcja jak i handel okowitą znalazły się w warunkach sztucznych i były skrócone przez nienukione wymagania wzmożonego nadzoru, skutkiem czego przemysł gorzelniczy pozbawiony był swobodnej konkurencji, tak niezbędnej do rozwoju wszelkiego przemysłu. Ta okoliczność z jednej strony, oraz wysokość opodatkowania z drugiej przyczyniły się znacznie do ograniczenia krajowej konsumpcyi.

Gdy w r. 1863 wprowadzono w wykonanie nowe przepisy akcyjne i pobierano po 4 kopiejki od stopnia bezwodnego spirytusu, roczna konsumpcja okowity na jednego mieszkańca w państwie rosyjskiem wynosiła 1 wiadro 40 stopniowe, obecnie konsumpcja ta wynosi 3/4 wiadra.

W ogóle w obec utrudniających jego rozwój warunków przemysł nasz gorzelniczy zawdzięcza swe istnienie zaprowadzonemu środkom, mającym na celu ułatwienie wywozu spirytusu za granicę, skutkiem czego nadprodukcja znajduje pomieszczenie na rynkach zagranicznych. Obecnie prawie piątą część okowity, wyprodukowanej w państwie rosyjskiem, wywozi się za granicę.

Mimo to wywóz ten nie zapobiegł znacznemu zmniejszeniu się ilości gorzelni. Tak do 1 stycznia 1860 r. w Rosyi europejskiej, z wyjątkiem Królestwa Polskiego i gubernii nadbałtyckich, istniało 5160 gorzelni, w pierwszym peryodzie działania systemu akcyjnego (od r. 1862—1863) już tylko 4018 (bez Królestwa Polskiego) lecz z włączeniem gubernii nadbałtyckich; w następnym peryodzie liczba ich wzrosła do 4293, lecz już w kampanii z r. 1865 na 1866 było czynnych tylko 2906 gorzelni. W następnym zaś pięcioleciu t. j. od r. 1866 do 1871 liczba gorzelni ciągle się zmniejszała a mianowicie z 5011 gorzelni (z włączeniem już Król. Polskiego) na 3029.

Zmniejszenie to ilości gorzelni przypisywano wpływowi systemu akcyjnego a głównie obowiązującym warunkom odliczania na korzyść właścicieli gorzelni bezakcyjnej superaty, które to warunki przynosiły korzyść głównie właścicielom wielkich gorzelni, którzy niezależnie od innych zysków, połączonych zawsze z produkcją na wielką skalę, korzystali z większego procentu bezakcyjnej superaty.

W dalszych latach rząd rosyjski zmniejszał z roku miennym każdym wysokość bezakcyjnej superaty, w równym też stosunku malała liczba gorzelni. I tak z 3,229 gorzelni w kampanii z 1870 na 1871 pozostało w kampanii 1885/86 tylko 2,331 bez względu na to, że ogólna roczna produkcja okowity we wszystkich gorzelniach nie tylko nie zmniejszyła się, lecz przeciwnie wzrosła. Przemysł więc gorzelniczy powoli zaczął się koncentrować

wac w mniejszej liczbie gorzelni produkujących okowitą na większą skalę.

W ciągu pięciolecia od 1866 do 1871 r. istniało w przecięciu rocznie 4,335 gorzelni, które wypalały przeciętnie rocznie 73,706,045 wiader 40 stopniowych. czyli, że każda gorzelnia wypalała 16,900 wiader; w pięcioleciu 1871 do 1876 istniało 3,460 gorzelni, z roczną produkcją 78,236,085 wiader; przeciętna produkcja jednej gorzelni wynosiła więc 22,612 1/2 wiader; w pięcioleciu od 1876 do 1881 gorzelni 2,595; ogólnej produkcji 76,823,665 wiader; przeciętną na jedną gorzelnię 29,600 wiader; w pięcioleciu wreszcie od 1881 do 1886 roku gorzelni 2,449; ogólnej produkcji rocznie 81,772,937 1/2 wiader; przeciętną produkcji na jedną gorzelnię 33,375 wiader. W kampanii z r. 1886/87 istniało w cesarstwie rosyjskiem, guberniach nadbałtyckich i Królestwie Polskiem ogółem 2,114 gorzelni, z przeciętną roczną produkcją pojedynczej gorzelni 35,319 wiader. Z powyższego obrazu cyfrowego widzimy, jak obowiązujący obecnie system akcyzy sprzyja wielkim fabrykom gorzelniczym a zabójczym jest dla gorzelni rolniczych. Ztąd też departament dochodów niestanowiąc w ministerstwie skarbu wypracował „projekt środków, mających na celu rozwój gorzelni rolniczo-gorzelniczych, oraz środków zmierzających do uregulowania handlu hurtowego okowitą“. Projekt ten rozpatrywało w pierwszej połowie bieżącego miesiąca pod przewodnictwem p. Jermalowa liczne grono najwybitniejszych ziemian oraz producentów okowity w Królestwie Polskiem.

Obrazy te nie posiadają decydującego charakteru, służąc one jedynie będą za miarę lub więcej cenne wskazówki dla rządu pragnącego zarządzić niejakie ulgi dla upadających z dniem każdym więcej ku znacznej szkodzi krajowego rolnictwa gorzelni rolniczych; lecz mimo to odmówić im nie można wielkiego znaczenia. Najwyższe dyskusje toczyły się nad kryterium gorzelni rolniczych czyli nad oznaczeniem maksymalnej rocznej produkcji dla tej kategorii gorzelni. Ostatecznie zebranie głównie za inicjatywą dr. Tadeusza Kowalskiego uchwalilo następujące wnioski:

1) Zebranie uznaje za odpowiadające warunkom i interesom miejscowym oznaczenie normy przeciętnej dla gorzelni średniej w Królestwie 24,000 wiader; dla gorzelni małej przeciętną trzy razy mniejszą;

2) zebranie nie przychyli się do podziału gorzelni według stref i uznaje go za niestosowny;

3) że, jeżeli rząd podział na strefy uznaje za konieczny, zebranie wnosi, ażeby różnica norm produkcji dla gorzelni w różnych strefach była sprowadzona do minimum.

Na zakończenie dodać jeszcze wypada, że projektowane ulgi polegać będą na podwyższeniu bezakcyjnej superaty dla gorzelni rolniczych, stratę wynikającą ztąd dla skarbu pokrywać mają w przyszłości gorzelnie fabryczne.

Berlin, 31 sierpnia.

(Zapiski cesarza Wilhelma I. — Chrzest piątego syna cesarza. — Podróż do Włoch. — Stan zdrowia ks. Bismarcka.)

(=) Wczorajszy „Staatsanzeiger“ zamieścił z polecenia cesarza Wilhelma, który w dniu chrztu piątego syna swego pragnął widocznie sprawić Niemcom niespodziankę, kilka zapisków cesarza Wilhelma I. „jako pomnik dla zmarłego i narodu niemieckiego.“

Publikacja rzeczona zawiera cztery osobne notatki, pochodzące z lat 1857, 1866, 1871 i 1878.

Pierwsza nosi datę: Koblenca, 10 kwietnia 1857, i stanowi właściwy wstęp do późniejszych zapisków. Zmarły monarcha wyraża w niej w formie wiersza życzenie, ażeby zapiski te dopiero po jego śmierci dostały się do rąk rodziny. Drugą pisał monarcha w nocy z dnia 31 grudnia 1866 na 1 stycznia 1867 roku, a więc po wojnie austriackiej i po utworzeniu północno-niemieckiego związku. Zawiera ona uwagi zmarłego, odnoszące się do ówczesnych wypadków dziejowych, sąd pochlebny o patriotyzmie ludności pruskiej i o waleczności armii, oraz życzenie, ażeby syn jego kiedyś w przyszłości znalazł w armii i ludności to samo usposobienie i z rozważą pracował około rozwoju monarchii. (Słowo „z rozważą“ „besonnen“ — zamieścić „Staatsanzeiger“ rozstawnym drukiem.)

Ważniejszą daleko jest trzecia notatka, pisana dnia 31 grudnia 1871. W niej powiada zmarły monarcha, że sądził, iż zadanie jego już w roku 1866 spełnione zostało i że nie spodziewał się, iżby przed śmiercią raz jeszcze potrzebował miecza dobywać. „W wojnie wywołanej lekkomyślnie przez Francją więcej, niż kiedykolwiek, uwidatnił się palec Boży, a ja powołany zostałem do stworzenia jednoci niemieckiej“ — pisze cesarz i zwraca się w końcu do Boga z prośbą, ażeby mu pozwolił w pokoju upewnić to, co stworzył walki krwawe. Ostatnia notatka pochodzi z końca roku 1878. Monarcha pisał ją pod wrażeniem przeżyć cierpienia, spowodowanych dokonaniem na życie jego zamachami. „Ciepłe cierpienia — powiada cesarz — były niemym wobec boleści sprawionej myślą, że to właśnie pruscy poddani speł-

nili czyn, który przy końcu dni moich powódź ciężko mnie dotknął i zoił ostatnie chwile moje.“ Dalej dziękuje monarcha rodzinie, otoczeniu swemu i całemu narodowi za współczucie, jakie mu w tak bolesnej chwili okazywano.

Głównym motywem wszystkich tych zapisków cesarza Wilhelma jest głębokie przeświadczenie, że wszystko co spełnił i zdziałał, zawdzięczał jedynie niezwykłej łasce Bożej; uważał on się zawsze za narzędzie w rękę Boga. Nie ulega wątpliwości, że istnieją jeszcze i inne notaki, o czym zresztą zdaje się świadczyć także i tytuł publikacji „Staatsanzeiger“, który notatki wyraźnie nazywa wyjątkiem „Auszug.“ Ciekawą byłoby rzeczą poznać zdanie cesarza Wilhelma o walce kulturalnej, albo o prawach antypolskich, ale odnośne dokumenta nigdy prawdopodobnie nie ujrzą światła dziennego.

Najmłodszy syn cesarza Wilhelma II otrzymał na chrzcie imiona Oskar, Karol, Gustaw, Adolf. Chrztu dopełnił pastor nadworny Koegel. Rodzicami chrzestnymi byli w pierwszej parze król Oskar szwedzki i cesarzowa austriacka, którą zastępowała arcyksiężna Marya Teresa. Obecnie były obie cesarskie wdowy — prababka i babka — cesarzowa Augusta i Wiktoria. Wypadek ten o tyle niezwykły nosi cechę, o ile jest w bieżącym stuleciu drugim dopiero wypadkiem chrztu syna panującego monarchy pruskiego a pierwszym wypadkiem chrztu księcia urodzonego w purpurze cesarskiej.

O podróży cesarza Wilhelma do Włoch nie pewnego dotąd nie wiadomo. Wprawdzie pokutuje w pismach liberalnych utwierdzenie jeszcze pogłoska, że cesarz Wilhelm odwiedzi króla włoskiego w Rzymie, ale oficjalne źródła milczą uporczywie. Widocznie więc nie zapada jeszcze na dworze monarchy ostateczna co do podróży włoskiej decyzja.

Książę Bismarck w tym roku do Kissingen nie wyjedzie. Stan zdrowia jego jest na razie podobno tak znakomitym, że zwykły pobyt w Kissingen jest zbytecznym.

Wiedeń, 30 sierpnia.

(Biskup Strossmayer.)

(=) Ogłoszony w „Czasie“ list kapłana polskiego do ks. Strossmayera w wyboru sposobu streszcza uczucia, które mi całe społeczeństwo nasze napełniła znana depesza Biskupa Strossmayera do zjazdu kijowskiego. Atoli zaeny kapłan nasz w jednym punkcie przyznaje Biskupowi dyakowskiemu niezasłużoną sławę. Zaznacza bowiem jego „poświęcenie całego życia dla pobratymczego nam narodu, którego jest pasterzem i przywódcą, opiekunem i dobroczyńcą“.

Otóż zdanie to, powtarzane od dawna w polskich dziennikach, opiera się na niedokładnej znajomości stosunków chorwackich i jest mylne. Jedyne, co przyznać można Biskupowi Strossmayerowi jest, że z bardzo znacznych dochodów biskupstwa swego w ciągu lat przeszło 30 ofiarował z pół miliona florenów — t. j. czysty dochód dwóch lub trzech lat, na sprawy narodowe, na założenie akademii zagrzebskiej, na zebranie galerii obrazów itd.

Co zaś dotyczy politycznego stanowiska Biskupa Strossmayera, to w czasach absolutyzmu Bacha bronił gorliwie praw narodowych i dla tego też w r. 1860, gdy się zanosilo na reorganizację wewnętrzną polityki austriackiej, został wezwany na członka tak zwanej „wzmocnionej rady państwa“ (verstärkter Reichsrath“). Wkrótce potem zapanował system centralistyczny Schmerlinga. Wtedy Chorwacy połączyli się z Madziarami celem wspólnego oporu. Zwłaszcza od roku 1863, t. j. od powstania polskiego, w narodowych kołach chorwackich osłabł podsycający głównie w roku 1848 entuzjazm dla Rosji i oddał drogi narodu chorwackiego, czyli przeważnej części jego, a Biskupa Strossmayera coraz bardziej się rozchodzą.

Naród chorwacki coraz bardziej zbliżał się do Madziarów, z którymi zawarł w roku 1868 bardzo korzystną dla Chorwacy ugodę, natomiast Biskup Strossmayer, który dawniej niekiedy wyrażał uczucia sympatii dla Polski, stopniowo szedł dalej w kierunku russofilskim, aż na początku r. b. został mianowany honorowym członkiem petersburskiego komitetu dobroczynności, zaś w lipcu wysłał gorącą depeszę gratulacyjną do królowi demonstracyi kijowskiej.

Z przeważną częścią narodu chorwackiego Biskup Strossmayer od dawna pozostaje w stosunkach wręcz nieprzyjaznych. Naprzeciwko stronnictwu narodowemu, posiadającemu większość w sejmie zagrzebskim, utworzył frakcyę opozycyjną, która jednak nie zdubowała się na więcej jak na 6—8 mandatów. Frakcyja ta aż nadto często kokietowała się z ultraradykalną frakcyą Starcewica, odsiadującego kilkoletnie więzienie za oszustwa, i tak stawała ciągle w poprzek rozumnej i patriotycznej pracy stronnictwa narodowego.

Po tem wszystkim nie można żadną miarą przyznać, aby Biskup Strossmayer był przywódcą i opiekunem narodu swego.

NIEMCY.

* Berlin, 31 sierpnia. Wczoraj odbyło się około godziny pierwszej w połu-

